

zostało skazane, jest politowania godnem. Każdy dźwięk jego nierozwiniętej mowy woła o współczucie. Jak długo troskliwa matka strzeże każdego poruszenia się swego pieścucha, stan ten jest znośny. Jeśli jednak matka ma umrzeć i rozważy los, jaki czeka tę nieszczęśliwą istotę, do końca życia być więzionym, bez chwili szczęścia, pod nadzorem ludzi niekochających, przed których srogością biedactwo nieraz kryć się będzie po kątach, nędzny niewolnik swych dozorców, za mało czujący, aby uchwycić któryś z promieni słońca, dosyć jednak czuły, aby być wrażliwym na ból i cierpienie, to co wtedy?

Robert cofnął się wzburzony.

— Do mnie może pani tak mówić — nieszczęśliwa, — ale do nikogo więcej. Rozumiem pani boleść! Współczuję z panią i gdybym wiedział jakąś radę...

— Dla mnie nie ma już ratunku, panie doktorze!

— Kto wie! — Nie trzeba się tak zupełnie poddawać rozpacz. Niech się pani napije szklankę wina.

Podszedł do szafki obok biurka, kluczem, który wybrał wśród pęku innych, otworzył ją i wyjął flaszkę i szklankę.

— Proszę panią. To uśmierzy trochę pani wzburzenie. Tak nie mogę pani puścić.

Marga wypita pospiesznie. Po chwili przemówiła już znacznie spokojniej:

— Proszę mi wybaczyć, doktorze. Pan po raz drugi widział mnie w chwili słabości duchowej. To się już nie powtórzy. Pan ma rację, szklanka wina działa jak eliksir.

Usiadła znowu i rozejrzała się spokojnie dookoła. Spojrzenie jej zatrzymało się na otwartej szafie.

— Pan ma całą aptekę pod ręką? zdziwiła się.

— Muszę mieć, pani baronowo, — u dzieci różne często zachodzą wypadki, na które musimy być przygotowani. My... proszę!

Ktoś zapukał. Jeden z nauczycieli zajrzał przez uchylone drzwi.

— Panie doktorze, proszę na słówko.

— Przepraszam panią bardzo, na chwileczkę.

Robert wybiegł szybko, aby rozmówić się z nauczycielem. Szło o kilka wyjaśnień, rozmowa przedłużyła się chwilę, dłużej, niż doktor się spodziewał. Kiedy powrócił do pokoju, Marga stała przed etażerką z książkami, pilnie studiując tytuły.

— Same książki lekarskie, — zauważyła, usiłując się uśmiechnąć.

— Pani daruje, że kazałem jej tak długo czekać. Musiałem jednak załatwić pilną sprawę.

— Proszę.

Po bladej twarzy, wzruszonym oddechu poznał, iż z trudem tylko panuje nad sobą.

— Nie chcę panu dłużej czasu zajmować, — oświadczyła pospiesznie. — Widok tyłu współtowarzyszy niedoli mojego Rudolfa, rozdarł na nowo moją ranę sercową, krwawi też silniej, niż w ostatnich czasach. Próba była... za twarda...

— Nie mogę więc spodziewać się, że panią znowu tutaj ujrzę? — zapytał zawiedziony.

— Owszem, przeciwnie, — chciałam właśnie pana prosić, aby mi wolno było często tutaj przychodzić. Będzie to dla mnie pociechą, gdy będę mogła pana pupilom okazać trochę tej miłości, której nie mogę dać mojemu własnemu dziecku. Jakżeż chętnie zajęłabym stanowisko której z siostr, aby panu pomagać w jego pracy. Może znalazłabym uspokojenie w tem zajęciu.

— Niech pani przychodzi, jak tylko pani odczuje potrzebę tego, — mój zakład stoi dla pani otworem. — Ucisnął wzruszony podaną rękę. — Niech pani nie rozpacza, i dla pani zaświta nowe szczęście. Cierpliwości i nadziei nigdy nie powinniśmy całkiem tracić, gdyż niejedno może się zmienić. Rozpacz i zdenerwowanie nie tylko nic nie naprawia, ale przeciwnie, powiększają tylko męczarnię duszy. Jeśli pani potrzebować będzie pomocy przyjaciela, każde wezwanie pani znajdzie mnie gotowym do usług.

Skinęła mu z wdzięcznością głową, poczem oboje

opuścili zakład. Lekarz odprowadził ją aż do bramy wjazdowej.

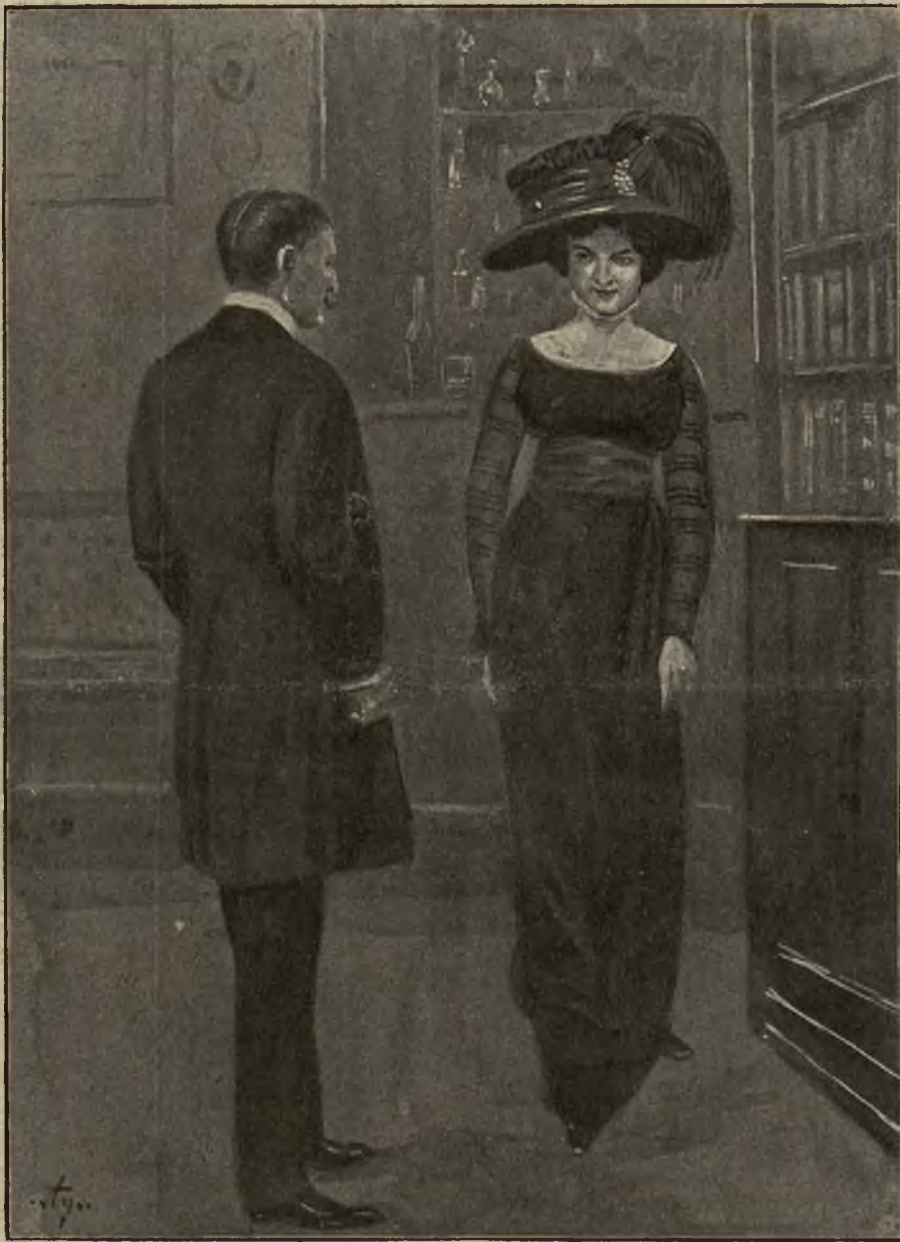
— Nie mogę ostatecznie brać za złe baronowi Wolfernowi, że wszystko robi, aby ją nazwać swoją żoną, — wzdychał młody lekarz, kiedy wracał do domu, — co bym ja sam dał za to, aby móżdż... ale o tem niema co marzyć!

A jednak myślał o tem, więcej nawet, niżby to dlań było wskazaniem, zwłaszcza od dnia, w którym ją po raz drugi zobaczył...

W sześć dni po wizycie baronowej wszedł Robert rano o dziewiątej godzinie do swej pracowni. Jeden z nauczycieli miał silny i bolesny napad neuralgii, cierpiał bardzo i tylko zastrzyknięcie morfiny mogło mu przynieść ulgę. Doktor szybko otworzył swą szafkę i wyciągnął rękę po flaszeczkę, która stała na dole. Zdumiony cofnął się.

Flaszeczki z morfiną nie było.

Doktor Burger dbał bardzo o porządek i dlatego był z góry przekonany, że flaszeczki nie przestawił gdzieindziej. Wiedział odrazu, że jej wogóle już nie ma. Mimo to przeszukał całą szafę, nic nie znalazł.



— Pan ma całą aptekę pod ręką? — zdziwiła się.

Jak ona znikła? Szafa była zawsze zamknięta, klucz w jego przechowaniu, nosił go zawsze przy sobie w kieszeni. Nikt inny, prócz niego, nie miał dostępu do szafki. Nigdy nie zostawił jej otwartej.

Nagle zbłądził.

Raz przecież zostawił ją niezamkniętą. Było to w czasie wizyty baronowej Wolfern...

Musiał wtedy na chwilę wyjść z pokoju, nieobecność jego trwała dłużej, niż przypuszczał...

— Tylko Marga mogła zabrać tę truciznę, ...mój Boże! Jej wzburzone, straszne słowa, nie ulega wątpliwości, ona zabrała flaszeczkę!

ROZDZIAŁ IX.

Tylko Marga Wolfern mogła była zabrać truciznę. Nieszczęśliwa kobieta musiała w czasie nieobecności zaglądać do szafy, tam zaraz dostrzegła małe flaszeczki z truciznami, które jeszcze specjalnie zwróciły jej uwagę napisami i krzyżami. Uległa pokusie i zabrała flakon z trucizną najbardziej odurzającą.

Na co?

Wzdrygnął się przed posądzeniem.

— Nie widział innej rady, jak tylko natychmiast udać się do niej i zażądać od niej zwrotu straszego przedmiotu, ostrzedz ją, zakląć!

Doktor Burger zaordynował choremu opium zamiast morfiny, szczęśliwie dało się w tym wypadku jedno za drugie zastosować. Oczekiwana ulga w cierpieniu niebawem nastąpiła a Robert, doczekawszy tego rezultatu, natychmiast wybrał się do miasta. Dopiero kiedy siedział już w tramwaju, przypomniał sobie, że nie zna zupełnie adresu Margi!

Zimny dreszcz przebiegł go na tę myśl! Jak ją znaleźć w tem milionowym mieście? Dlaczego nie zapytał jej wtedy, gdzie mieszka. Mógł wprowadzić ją do biura meldunkowego i tam szukać jej adresu. To jednak było o tyle tylko możliwe, o ile ona mieszkała w samym Berlinie, mogła przecież mieszkać także na przedmieściach, albo wogóle gdzieś na wsi.

Baron Wolfern mieszkał w okolicy ogrodu zoologicznego, wspominała mu o tem. Przypuszczał więc, że i ona nie oddaliła się zbyt daleko od swego dziecka. Wynik poszukiwań potwierdził jego przypuszczenia. W biurze meldunkowym znalazł ku swej radości jej adres. Mieszkanie jej znajdowało się niedaleko bramy Brandenburskiej. Widocznie młoda kobieta osiadła tu tylko prowizorycznie, wynajęła bowiem tylko kilka pokoi na wielkim piętrze. Prowadziła jednak zupełnie gospodarstwo domowe.

Młoda pokojówka otworzyła doktorowi i na zapytanie o swą panią, oświadczyła, że jej niema w domu.

— Czy pani baronowa wnet powróci? Przyjdę wtedy jeszcze raz.

— Dzisiaj zupełnie nie wróci.

— Ah! wyjechała?

— Już od kilku dni jej niema.

— Pani nie wie, dokąd wyjechała?

Dziewczyna okazała zakłopotanie.

— A panny Röhn niema także?

— Także nie, — ale ona wyszła tylko do miasta. Jeśli pan zechce zacheć...

Czekał więc. Służąca zaprowadziła go do małego, ale ładnie urządzonego saloniku. W tej chwili nie był jednak usposobiony, aby podziwiać dobry smak tak drogiej mu właścicielki mieszkania. Sprawa flaszeczki z trucizną zajmowała go wyłącznie. Z wrażliwą niecierpliwością chodził tam i z powrotem, wyglądając co chwilę oknem. Upłynęła jednak prawie godzina, zanim oczekiwana panna Röhn nadeszła. Stara kucharka poznała natychmiast towarzysza podróży z „Królowej Ludwiki“ i powitała go bardzo uprzejmie.

— Szkoda, że pani mojej niema w domu — ubolewała ze szczerą otwartością. — Jakże byłaby się ucieszyła.

— Szukam baronowej i muszę z nią koniecznie mówić, — odpowiedział Robert. — Podobno wyjechała, — czy pani wie, dokąd?

— Wyjechać, nie wyjechała, jest w Berlinie.

— Gdzie, na Boga! Chyba nie w zakładzie dla nerwowo chorych?

Mimowoli obudziło się w nim to podejrzenie, kiedy zestawiał razem zmieszanie się pokojówki i ostatnie zdenerwowanie Margi, jakiego był świadkiem.

— Ach nie, panie doktorze. Ona jest u pana barona!

— U opiekuna dziecka?

— A właściwie przy swem dziecku, panie doktorze. Przed ośmiu dniami dowiedzieliśmy się, że mały Rudolf ciężko zachorował. Wtedy poszła tam i błagała barona, aby jej powierzył staranie o dziecko, gdyż inaczej musi umrzeć.

— A... on na to się zgodził?

— Nie zaraz, musiała przejść z nim twardą walkę. Wreszcie ustąpił, — i od tej chwili jest ona tam i zarówno w dzień jak i w nocy czuwa przy łóżeczku chorego Rudolfa.

(Ciąg dalszy nastąpi).